

Moja droga do Prawdy

Urodziłem się we wsi Oleszyce w powiecie Lubaczów w 1932 roku. Moimi rodzicami byli Michał i Maria Makarzec, a moje rodzeństwo to siostra Stefania (żona Franciszka Organka) oraz najmłodszy brat Eugeniusz. Ojciec mój był inwalidą wojennym. Do naszej wsi zawiątała Prawda, gdy przyjechali bracia ze Stanów Zjednoczonych. Były odczyty ze Słowa Bożego. Wskazywano na błędne nauki Kościoła katolickiego. W przerwach był włączany magnetofon, co było nowością dla wielu. Starsze kobiety zaglądały, gdzie jest osoba, która mówi. Na odczyty przychodziła prawie cała wieś, wszystkim się podobało, ale bracia ze Stanów musieli odejść. Wówczas usługiwali bracia miejscowi i wtedy wielu odeszło.

Ci, co zostali, zbierali się na czytaniu i badaniu Słowa Bożego. Często domy, w których odbywały się nabożeństwa, były podpalane nocą. Moi rodzice bardzo oszczędzali, by wybudować dom, w którym odbywałyby się nabożeństwa. I tak się stało. Zbór w Oleszycach był dość liczny. Usługiwali bracia: Grzegorz Koczaj, Dymitr Łucko, Jan Rokosz, Mikołaj Zaniewicz oraz Michał Osiowy. W naszej wiosce był jeszcze zbór Epifanii i Świtu. Byłem wówczas dorastającym chłopcem i zauważyłem, że pomiędzy braćmi nie było dobrego kontaktu. Nawet nie uczestniczono w pogrzebach kogoś z innego wyznania. A uczniowie o Panu Jezusie mówili, że „był prorokiem mocarnym w czynie i w słowie przed Bogiem i przed wszystkim ludem” (Łuk. 24:19). Nasz Pan w czasie głoszenia przyjmował wszystkich ludzi. Ewangelista Mateusz o naszym Panu pisał: „Trzciny nadłamanie nie dołamię, a lnu tlejącego nie zagasi” (Mat. 12:20). Pamiętam też, jak kiedyś brat Jan Gumiela wspominał, że miał usługę pogrzebową i przygotował słowa do publiczności, ale nikt z sąsiadów na pogrzeb nie przyszedł. Stwierdził, że zmarły nie potrafił zaprzyjaźnić się z sąsiadami.

W naszym domu ojciec trzymał dyscyplinę. Nie mogliśmy wychodzić do kolegów, chyba że do dzieci braterstwa Mozolów. Czasem z siostrą nie mówiliśmy prawdy. Ojciec patrzył wtedy na buty, czy były mokre. Znaleźliśmy sposób, by buty były suche – najpierw wycieraliśmy je w popiele, a potem w słomie. Kara miała nas też wtedy, kiedy po powrocie ojciec widział, że czytamy Nowy Testament. Z czasem też musieliśmy opowiadać, co przeczytaliśmy i wówczas się okazywało, czy czytamy, czy udajemy. Pamiętam lata dziecinne – były przepełnione strachem, chłodem, a nawet głodem. Często mama mówiła, że nie ma co ugotować.

Pomimo biedy bracia zbierali się i odbywały się nabożeństwa. Zbór w Oleszycach odwiedzało wielu bra-

ci, byli to między innymi: August Stahn, Jan Gumiela, Walenty Wojtkowski, Henryk Grudzień, Henryk Kamiński oraz Mikołaj Grudzień. W 1939 roku zbór w Oleszycach zorganizował konwencję u brata Mikołaja Zaniewicza. Zupa konwencyjna gotowana była przy płocie sąsiadów. Sąsiadki wykorzystały chwilę nieuwagi sióstr i wrzuciły do garnka bryłę gliny. Brat Zaniewicz był spokojnego usposobienia i powiedział tylko do sąsiadów: „Co wyście zrobili? Tylu ludzi będzie głodnych”. Drugiego dnia konwencji pojawiły się niemieckie samoloty. Zbombardowano dworzec i wszyscy opuścili konwencję.

Znaleźliśmy się pod okupacją niemiecką. Chodziliśmy do szkoły, ale w klasach było zimno. Władze nie dbały o szkołę. Jeden z rodziców, jadąc furmanką przez wieś, zbierał opał. Każdy coś dawał, chociaż sam nie miał za wiele. Żołnierze niemieccy przeszukiwali domy i zabierali żywność. Gdy wkroczyły wojska radzieckie, sytuacja się nie poprawiła. Ogłoszono, że nie wolno się zgromadzać. Bracia nie wiedzieli, co zrobić. Jeden z nich wziął Biblię i poszedł do komisarza, żeby pokazać, że czytane jest Pismo Święte. Wtedy komisarz pozwolił, ale powiedział, że nie wolno poruszać spraw politycznych.

Po wyzwoleniu wywożono ludność ukraińską na Ukrainę. W nocy, jak tylko odjechał transport, partyzanci UPA palili ich domy. We wsi była jedna, wielka łuna. Pewnej nocy podpalono dom mojego wujka – Dymitra Łucki, brata mojej mamy. Dom był kryty strzechą. Cio-cia zobaczyła płomienie w oknach. Kiedy wyniesiono śpiące dzieci, dach się zawalił.

Pewnego razu, gdy wujek Dymitr szedł na konwencję, został napadnięty przez miejscowych bandytów. Pobili go kijami i licząc, że jest martwy, wrzucili go w kałużę. Tam się ocucił. W wyniku tego pobicia jedno oko miał nieodwracalnie chore, ale nie zgłosił tego do władz, bo wiedział, że to pogorszyłoby sytuację. Władze w tamtych czasach były za Kościołem katolickim.

Wiosną 1947 roku zostaliśmy zawiadomieni, że będziemy przesiedleni na Ziemię Odzyskane. Wtedy nikt tego nie wziął do serca. A na początku maja wojsko weszło do wsi i tym, którzy byli wcześniej powiadomieni, dali 2 godziny na spakowanie swego dobytku. W godzinach przedpołudniowych wyruszyliśmy w kierunku Bełżca, około 40 km, ponieważ w Oleszycach był szerszy tor. Moim zadaniem było popędzanie krów, które były zmęczone i nie chciały iść. Późnym wieczorem dotarliśmy na miejsce. Wagony ładowaliśmy aż do późnej nocy. Były to wagony towarowe, dlatego cały czas było ciemno i w dzień, i w nocy. Ja jechałem w wagonie razem z krowa-



mi. Byłoby lepiej, gdyby doczepiono wagon osobowy, ponieważ jechały osoby starsze i dzieci. Jechaliśmy w nieznane. Były krótkie przerwy, podczas których dawano nam nawet zupę. Razem z nami jechali żołnierze. Był strach, zmęczenie, niepewność. Trudno to opisać. Wszystko to odbywało się w ramach akcji „Wisła”. Podróż trwała tydzień. Wyładowano nas w Giżycku. Do Wydmin było 25 kilometrów. Szliśmy razem z wyciecznymi krowami. Mijaliśmy cztery miejscowości, a ludzie patrzyli na nas nieufnie. Nikt nie zapytał, czy czegoś potrzebujemy. Dom, który nam przydzielono, znajdował się na wyspie Jeziora Wydmińskiego. Część wyspy zasadzona była młodymi drzewkami. Przez środek przebiegał rów strzelecki, a w nim znajdowały się sprzęty wojskowe, pozostałości po wojnie. To potęgowało strach. Po Oleszyczach zostały tylko wspomnienia. Tam został prawie cały nasz dorobek. Życie toczyło się dalej. Posadziliśmy ziemniaki i trochę zboża. Dostaliśmy zapomogę w postaci żywności. Pan Bóg miał nas w swojej opiece i błogosławił nam. Przypadkowo spotkaliśmy brata Koczaja, który mieszkał też na tej wyspie. Później spotkaliśmy brata Łucko i Zaniewicza. I tak postanowiliśmy rozpocząć nabożeństwa niedzielne. W 1950 roku moja kochana mama zachorowała i zmarła. Został się mały braciszek, który miał półtora roku. W czasie pogrzebu wołał: „Mamo”. W 1951 roku władze wydmińskie zapowiedziały nam, że musimy opuścić wyspę, ponieważ chcą tam stworzyć teren rekreacyjny. Zaproponowali kilka innych domów. Ojciec wybrał miejsce, w którym mieszkamy do dziś. Był to budynek, w którym oprócz nas mieszkała inna rodzina. Do sąsiadów przyjechała dziewczyna i tam zamieszkała. Później została moją żoną.

Rodzina żony to ludzie religijni, wyznania katolickiego. Dla nich było to coś niezwykłego, że córka/siostra minęła się z ceremoniami religijnymi uznawanymi w ich kościele. Jednak po czasie obdarzyli mnie dużym zaufaniem, mówili: „Wujek z Wydmin to autorytet”.

Brak pieniędzy był powodem trudności życiowych. Zawodowo pracowałem tylko ja, a żona zajmowała się domem. Urodziła nam się dwójka dzieci: Krzysiek i Ruta. Nasz zbór był mały, liczył 5-6 osób. Brat Koczaj służył wykładami. Postanowiłem poświęcić się Panu na służbę, dlatego w 1967 roku przyjąłem chrzest na konwencji w Rudzie. Po pewnym czasie żona także postanowiła przyjąć symbol i uczyniła to podczas konwencji w Białogardzie. Dzieci dorastały, były w szkołach średnich. Modliłem się, żeby one także odnalazły drogę do Pana. Przyszedł czas, żeby poszły na studia. Chciałem, żeby były blisko domu i braci. Najpierw Krzysiek, a potem Ruta wybrali uczelnię w Białymstoku.

Tak się złożyło, że odwiedził nas z usługą brat Jarek Purwin. Po zakończonym nabożeństwie, odprowadzając go na dworzec, poprosiłem, aby opiekował się naszymi

dziećmi. Tak się stało. Brali udział w nabożeństwach i jeździli co miesiąc razem z białostocką młodzieżą do Warszawy na spotkania młodzieżowe. Jestem wdzięczny braciom ze zboru białostockiego, że przybliżyli ich bardziej do Słowa Bożego.

Po skończeniu studiów Krzysiek powrócił do domu. Zaczęliśmy rozbudowywać dom. W tym czasie Krzysiek został wybrany na diakona, ożenił się z Anią Czajką i zamieszkali w naszym domu. Razem z nami zamieszkała też po śmierci swojego męża mama Ani. Ruta po zakończonych studiach też wróciła do domu. Poznała się z Rysiem Samułą i zawarli związek małżeński.

Brat Koczaj poinformował nasz zbór, że będzie musiał nas niestety opuścić, ze względu na stan zdrowia żony, która czuła się słabo. Planowali wyjazd do córki Marysi Szumskiej do Lubaczowa. Zaproponował, żebym został przewodniczącym zboru. Martwiłem się, nie czułem się odpowiednim. Wiedziałem, że jeśli się nie zgodzę, to zbór w Wydminach może się nie utrzymać. Przyjąłem więc propozycję brata Koczaja, licząc na to, że Krzysiek wkrótce obejmie tę funkcję, a ja będę pomocnikiem. Tak też się stało. Dodatkowo, po pewnym czasie także Rysiek został bratem starszym.

Zbór, mimo że był mało liczny, gościł wielu braci i organizował kursy. Pierwszy odbył się w Kruklankach, w odległość ok. 20 km od Wydmin, u brata Stefana Kuńca. Kierownikiem był Adam Kozak, a wykładowcą Łukasz Szatyński. Udział w nim wzięło około 80 kursantów. Potem były kursy w Spytkowie, Gawlikach Wielkich, Wydminach i Rynie. Do dzisiaj zbór pomaga w organizacji kursów biblijnych.

Zawodowo przez wiele lat pracowałem w tartaku. Zajmowałem się naprawą maszyn. Pewnego dnia zaproponowano mi, abym został kierownikiem i objął dział mechaniczny. Trochę się bałem, bo to bardzo odpowiedzialna funkcja, ale kuszyły wyższe płace, które przydałyby się przy rozbudowie domu. Przyjąłem propozycję. Powierzoną mi pracę wykonywałem sumiennie, dlatego zakład znalazł się w czołówce wśród innych zrzeszonych w przedsiębiorstwie. Ale jak to się mówi: wszystko, co dobre, szybko się kończy. Dyrektor tartaku zachorował i wkrótce umarł. Nastąpił inny. W tym czasie pojawił się nowy pracownik, z którym miałem problemy. Notorycznie spóźniał się do pracy. Zwracałem mu uwagę, ale to nie przynosiło efektów, dlatego zmuszony byłem napisać do dyrektora meldunek. Upomnienie dyrektora także nie poskutkowało. Pewnego dnia spóźnił się ponad godzinę. Zmuszony byłem napisać kolejny meldunek. Tu zaczęła się moja niedola. Ów pracownik był donosicielem dyrektora. Doniósł, że jestem innego wyznania. Zostałem wezwany do dyrektora. Zobaczyłem innego człowieka, agresywnego. Trzymając mój meldunek w ręku, krzyczał: „Pan się nie nadaje na kierownika. Pracownika trzeba wychowywać, a



nie tylko karać”. Od tej pory zmienił się w stosunku do mnie i ciągle mnie atakował. Często powtarzał, że musimy się pożegnać. Tak mnie gnębił psychicznie, że znalazłem się u psychologa. Psycholog zadawała mi różne pytania. Gdy zapytała, czy mnie ktoś znieważa, powiedziałem tylko „tak” i łzy popłynęły aż na kolana. Dostałem leki, które nic nie pomagały. Jak widziałem dyrektora, to nogi ugiwały się pode mną. W nocy mało spałem. Trwało to dosyć długo. Pewnego dnia zadzwonił naczelnny dyrektor Przedsiębiorstwa z Białegostoku i poinformował, że następnego dnia odbędzie się spotkanie kierowników wszystkich działów. Nikt nie wiedział, o co chodzi. Zebraliśmy się w świetlicy z naczelnym dyrektorem przedsiębiorstwa. Dyrektor pytał wszystkich kierowników, dlaczego jest taka zła relacja pomiędzy dyrektorem wydmińskim a mną. Wszyscy mówili, że pan Makarzec jest innego wyznania. Nie wypierałem się. Przyznałem, że jestem innego wyznania, które mnie uczy, aby być w pracy wydajnym, uczciwym i łzy stanęły mi w oczach. Po tym dyrektor naczelnny wstał, wszystkim podziękował za udział, a sam udał się do dyrektora zakładu. Słychać było głośną rozmowę. Nikt z nas nie wiedział, czego się spodziewać. Za jakiś czas okazało się, że naczelnny dyrektor zarząd-

ził natychmiastowe przeniesienie dyrektora zakładu do innej miejscowości, znajdującej się 20 kilometrów od Wydmin, a tamtego dyrektora do naszego zakładu. Ta wiadomość nie docierała do mnie aż do następnego dnia, gdy zobaczyłem odjeżdżającego dyrektora. Wszystko wróciło do normy. W zakładzie tym przepracowałem 40 lat. Sytuacje, które opisuję, wydarzyły się około 30 lat temu.

Obecnie mam 87 lat i jestem na emeryturze. Doczekałem się trzech wnuków: Daniela, Łukasza i Mateusza oraz wnuczki Marty, a także prawnuczek: Anasztazji i Antoniny. W tej chwili jestem już w starszym wieku, dlatego moja pomoc w zborze jest znikoma. Rozpaczynam nabożeństwo i zakańczam, czasem usługę wykładem. Dziękuję Panu Bogu, że mimo różnych trudności życiowych błogosławił mi, mojej rodzinie oraz naszemu zborowi. Śmiało mogę stwierdzić, tak jak Samuel, że *„aż dotąd pomagał nam Bóg”* (1 Sam. 7:12).

Makarzec Stefan
R-
„Straż”